

Rozmowa z tłumaczką Moniką Motkowicz



Kiedy pomyślałaś o tym, żeby zostać tłumaczem?

Pomysł narodził się w mojej głowie w czasie studiów filologicznych. Lubiłam uczyć się języków obcych i moją przyszłość zawodową chciałam związać właśnie z językami. Od dziecka lubiłam także czytać, przez kilka lat pracowałam jako recenzent wewnętrzny i konsultant językowy w branży wydawniczej. Równocześnie szkoliłam się z zakresu przekładoznawstwa, ukończyłam studia podyplomowe przy katedrze UNESCO, podglądałam warsztat tłumaczy, analizowałam wydania dwujęzyczne. A przede wszystkim po prostu tłumaczyłam różnego rodzaju teksty, często zresztą do szuflady. W pewnym momencie pomyślałam, że warto połączyć te dwie pasje – miłość do literatury i języków – i spróbować się jako tłumacz literacki.

Dlaczego akurat wybrałaś Włochy i język włoski?

Moja przygoda z Włochami zaczęła się na studiach. Studiowałam romanistykę, gdzie miałam możliwość nauki drugiego języka romańskiego. Intuicyjnie wybrałam włoski, ponieważ podobała mi się jego melodia i chciałam zrozumieć, o czym śpiewa Eros Ramazzotti. Wtedy też zaczęłam podróżować do Włoch. Zachwyciłam się nimi, Włochy zjednały moje serce.

Jak się tłumaczy książki dla dzieci? Jak wygląda praca tłumacza?

Na początku tłumacz otrzymuje z wydawnictwa książkę w języku źródłowym, teraz najczęściej w wersji elektronicznej. Jeśli nie jesteśmy zaznajomieni z tytułem czy z twórczością danego autora,

przed przystąpieniem do przekładu warto przejrzeć książkę, ocenić styl autora, zastanowić się, jakiego użyć rejestru językowego, jaką obrać strategię. Następnie przystępujemy do pracy, tłumaczymy zdanie po zdaniu, fragment po fragmencie. Co istotne, nie tłumaczymy na poziomie słów, ale znaczeń. Podczas pracy szukamy słów, odpowiedników, które najlepiej oddadzą sens. Ważne, by tłumaczony tekst brzmiał naturalnie, jakby został napisany w języku polskim. Unikamy kalek językowych – jednych z największych wrogów tłumaczy! Tłumaczony tekst ma wywołać u czytelnika takie same emocje jak u czytelnika oryginału.

Po ukończeniu przekładu kilkakrotnie czytam tekst. Bardzo pomocne jest czytanie tłumaczenia na głos. W ten sposób sprawdzamy, czy tekst ma odpowiedni rytm, czy dobrze się czyta. Na koniec przekazujemy go do redakcji. Redaktorzy nanoszą swoje uwagi, po czym tekst jest odsyłany do akceptacji tłumacza. Nim tytuł trafi do rąk czytelników, następuje szereg dalszych czynności wydawniczych. W tym miejscu chciałabym podkreślić, że książka to efekt pracy zespołowej. Tłumacz nie jest sam, współpracuje z zespołem redaktorów i korektorów, którzy czuwają nad tekstem.

Czy możesz nam powiedzieć co – poza słownikiem oczywiście – przydaje się tłumaczowi? Czy korzystasz z dobrodziejstw współczesności, na przykład Tłumacza Google czy innych aplikacji, a jeśli tak – to jakich?

Przydają się przede wszystkim wszelkiego rodzaju słowniki. Bardzo lubię korzystać ze słownika synonimów, *Słownika dobrego stylu* wydanego nakładem PWN, słowników jednojęzycznych dostępnych w sieci. Poza słownikami korzystam też z innych źródeł, najczęściej z wyszukiwarki Google. Nie ufam natomiast Tłumaczowi Google, ponieważ to tłumaczenie komputerowe, dające nieraz dość karykaturalne efekty.

Czy tłumaczenie to nudna i monotonna praca, kiedy tak siedzisz przy biurku i w spokoju tłumaczysz zdanie po zdaniu?

Wręcz przeciwnie – każda książka to nowe wyzwanie! Z każdym przekładem tłumacz wyrusza w kolejną nieznaną podróż. Z radością siadam do pracy nad nową książką. Tłumaczenie to frajda, radość obcowania z tekstem, wymyślanie rozwiązań, szukanie odpowiedników. To trudne, ale inspirujące i fascynujące zadanie. W dodatku język, którym posługujemy się w naszej pracy, nieustannie ewoluuje, więc tłumacz w zasadzie nigdy nie stoi w miejscu – trudno tu o nudę!

Czy tłumacz coś musi? A może czegoś mu nie wolno?

Tłumacz ma oddać sens, a nie tłumaczyć dosłownie. Nie możemy na przykład przetłumaczyć przysłowia słowo w słowo, tylko szukamy jego odpowiednika. Tłumaczenie ma brzmieć

naturalnie, jakby było napisane w języku polskim. W przypadku prozy tłumaczymy blisko oryginału, oddajemy znaczenie ładną polszczyzną. W każdym zdaniu szukamy złotego środka.

Czy podczas pracy przydarzyła Ci się jakaś śmieszna historia?

Gdy pracowałam nad przekładem jednego z tytułów dla dzieci, siostra zapytała, kiedy w końcu napiszę tę książkę, ponieważ nie mogła się doczekać, aż wreszcie trafi w jej ręce.

Czy tłumacz może zepsuć dobrze napisaną książkę i uratować źle napisaną? Gdzie kończy się odpowiedzialność autora, a zaczyna tłumacza?

Z zasady tłumacz powinien być przezroczysty, jak najlepiej oddać znaczenie. W przypadku rażących błędów powinien zareagować i zakomunikować je do redakcji. Wtedy podejmuje się wspólną decyzję co do strategii i dalszego podejścia. I podobnie w drugą stronę. Staram się jednak unikać wartościujących określeń, bo rzeczywista ocena przekładu to szalenie trudne zajęcie.

Czy w *Śnie o Wenecji* i *Ostatnim drzewie* – książkach, które tłumaczyłaś – były wątki lub słowa trudne do przetłumaczenia? Czy musiałaś stworzyć nowe słowa albo znaleźć lepiej brzmiące odpowiedniki?

W przypadku tych książek nie spotkałam się z wyzwaniem natury słownikowej. Największe wyzwanie – jak w przypadku każdej książki – polegało na tym, by odpowiednio dać słowo słowo. Musiałam natomiast zwrócić szczególną uwagę na relację tekstu z ilustracjami, upewnić się, że rysunki współgrają z treścią, ponieważ są one szalenie ważnym elementem, posiadają wiele zaskakujących detali. Tłumaczyłam, mając na uwadze całość – ilustracje oraz tekst. Ten aspekt był bardzo istotny podczas procesu tłumaczenia tych tytułów. Bez ilustracji praca byłaby bardzo trudna.

Do jakiego stopnia przekład uruchamia nowe możliwości polszczyzny?

Przekład daje ogromne możliwości językowe. Największe dają chyba gry słowne – dlatego że trzeba stworzyć je od nowa, odwołać się do innej tradycji kulturowej, tkanki frazeologicznej, praktyki słowotwórczej, siatki skojarzeń, w wyniku czego powstają nowe słowa, wyrażenia, nazwy własne. To właśnie najbardziej lubię w tej pracy.